



Z Henrykiem Sytnerem, dziennikarzem radiowej Trójki, organizatorem „Wakacji na dwóch kółkach”, który od 1970 r. namawia słuchaczy do jazdy na rowerze, rozmawia Irena Fober.

- Czym jest dla Pana rower?

- Jest to sposób na życie, na zdobycie kondycji i poznanie wielu ciekawych miejsc, do których nie mógłbym dotrzeć samochodem lub innym środkiem lokomocji. Nawet w niedostępnym terenie można po prostu rower przenieść i później znów jechać dalej. Rower jest najbardziej wszechstronnym środkiem lokomocji i pojazdem, który sprawia człowiekowi przyjemność.

- Był pan jednym z pierwszych dziennikarzy, którzy inicjowali modę na rower, popularyzowali tę formę rekreacji, turystyki, sportu. Teraz wydaje się to całkiem normalne i oczywiste, ale 40 lat temu to było coś zupełnie nowego i niezwykłego.

- Mój konkurs „Wakacje na dwóch kółkach” był wówczas dla młodych ludzi, dla uczniów jedyną okazją w życiu, żeby wychylić nosa poza swoje opłotki, poza swoją wieś czy miasteczko i wyjechać gdzieś za granicę. Wiemy, jakie 40 lat temu były olbrzymie problemy, chociażby z otrzymaniem paszportu, nie mówiąc już o tym, że trzeba było mieć niemałe fundusze na taki wyjazd. Na rowerach zwiedziliśmy pół świata – najpierw wszystkie kraje dawnej demokracji ludowej, później mogliśmy podróżować po innych krajach europejskich, dwa razy byliśmy w Afryce. Najdalej trafiliśmy do Australii, gdzie jeździliśmy nie tylko rowerami, ale też miejscowymi środkami lokomocji, poruszaliśmy się m.in. samolotem, jeepami. Różnie to bywało, ale dzięki temu pokonaliśmy Australię od Sydney aż hen, na północ do Perth. Wszystkie te podróże były okazją do poznania świata i olbrzymim bodźcem do wzięcia udziału w konkursie.

- Zdarzyły się po drodze jakieś niezwykle przygody?

- Mieliśmy raz trasę łąconą: Bułgaria i Turcja. Musieliśmy się przedostać z południa Bułgarii do Istanbuhu, po wielu perypetiach jakoś wsiedliśmy do przepełnionego pociągu, który stał na peronie. To była ciuchcia, która kursuje na lokalnej trasie, ale ja o tym nie wiedziałem, bo powiedziano nam, że to jest właśnie pociąg ekspresowy do Istanbuhu. Ciuchcia owszem, pojechała, ale tylko do stacji granicznej. Ekspres co prawda stał po drugiej stronie peronu, ale tak był zatłoczony, że nie było mowy, żeby się do niego dostać. W końcu powiedziałem konduktorowi, że musi nam znaleźć miejsce, bo w Istanbule mamy relację telewizyjną i musimy tam dotrzeć. Powiedział – co będę mógł, to zrobię. Ale ciuchcia nadal stoi, ekspres lada chwila ma odjechać. Myślę, zapomnieli o nas. I nagle odłączają wagon ciuchci, i – o dziwo – dołączają go do ekspresu. Było to coś nieprawdopodobnego, chyba w żadnym innym kraju coś takiego by się nie zdarzyło. I tak ten wagon ciuchci, przyłączony do ekspresu, jechał aż do Istanbuhu. Chwiał się na wszystkie strony, ale jakoś dotarliśmy. Takie przygody też się na trasie zdarzają.

- Czy przed wyjazdem sprawdzana jest kondycja uczestników?

- W ogóle nie jest sprawdzana, tych młodych ludzi znam tylko z ich prac konkursowych.

- To czy zdarzają się potem jakieś niespodzianki?

- Nie, oni wszyscy dobrze jeżdżą na rowerach, a zresztą nie pokonujemy bardzo długich odcinków, jedziemy spacerowym tempem, robimy przerwy, spacerujemy, pływamy. Trasy dostosowujemy do pogody, ukształtowania terenu, naszych możliwości, gdy jest gorąco 20-30 km to maksimum. Nie ma problemu, wszyscy sobie radzą.

- Ile młodych osób w ciągu tych lat, skorzystało z tego, że tak się Pan zaangażował w jazdę na rowerze?

- Naprawdę tego nie liczę. To już 43 lata, powiedzmy, że w konkursie bierze udział jakieś 300 osób. Trzeba to przemnożyć... wychodzi, że około 13 tysięcy.

- To czynni uczestnicy konkursu, ale trzeba jeszcze dodać tych, którzy dzięki temu, że słuchali relacji, opowieści o wyprawach, postanowili wsiąść na rower.

- Jeżeli przy okazji jednej edycji konkursu zachęciło się 1000 osób, to mamy czterdzieści parę tysięcy rowerzystów...

- Właśnie wrócił Pan z kolejnej wyprawy, tym razem na Wyspy Kanaryjskie.

- Trzy lata temu byliśmy na Teneryfie i Gran Canarii, teraz dwóch innych wyspach: Lanzarote i Fuerteventurze, gdzie są przepiękne, chyba najpiękniejsze na świecie plaże i wydmy. A Lanzarote to niesamowity krajobraz wulkaniczny, byliśmy w parku narodowym Timanfaja, było co oglądać. Myślę, że uczestnicy będą długo to pamiętać.

- O jakiej podróży teraz Pan myśli?

- Chciałbym pojechać do Japonii, marzą mi się kierunki azjatyckie, Hongkong, Tajlandia.

- A podróż dookoła świata?

- To bardzo piękne hasło, ale trzeba być realistą. Jest to trudne do zrealizowania. Z Warszawy nie przejedziemy przecież rowerem dookoła świata – trzeba by polecieć samolotem, potem rowerem, znów samolotem... Marzyć można, ale przede wszystkim trzeba stąpać twardo po ziemi.

- No to zapytam: ostatnio toczą się dyskusje między kierowcami, pieszymi a rowerzystami. Rowerzyści jeżdżą po chodnikach...

- Są przecież przepisy, które mówią, że w przypadku trudnych warunków, gdy pada deszcz, o zmroku, gdy rowerzyści po prostu boją się jechać razem z samochodami, mogą jechać po chodniku. Piesi muszą to zrozumieć. Natomiast jak są dobre warunki na jezdni, to się jeździ jezdnią. Dobra wola obu stron rozwiązuje sytuację.

- Na ścieżkach rowerowych, w miejscu, gdzie jest wymalowana zebra, przejście dla pieszych, rowerzyści w ogóle nie zwracają na przechodniów uwagi. Nie zdarzyło mi się, żeby rowerzysta zatrzymał się i ustąpił pierwszeństwa.

- W takiej sytuacji piesi mają rację. Wszystko zależy od kultury jazdy. Niestety, są i tacy rowerzyści, którzy wariują na swoich rowerach, przewożą kogoś na ramie, nie trzymają kierownicy, jeżdżą pod prąd, slalomem. Takie sytuacje zdarzają się nawet na ścieżkach rowerowych.

- Dziękuję za rozmowę.

Zdjęcie: Wojciech Kusiński PR